

bardzo wiedział, co się z nim dzieje — widać to było po jego zdziwionej twarzy.

Potem wsadzono go do dorożki: stary Daniel wsiadł za nim i usiadł obok. Z trzaskiem zamknęły się drzwiczki,

Raz jeszcze wychylił się ku nam z okna, wywijając na pożegnanie granatową czapeczką. Z hałasem

ruszył pojazd — a my staliśmy i patrzyli, dopóki powóz nie zniknął z dziedzińca zakładu. Potem odeszliśmy. Nikt nie odezwał się słowem.

Odjechał, nie wrócił już do zakładu.

Nie wiem, czy zastał jeszcze matkę przy życiu — nie widziałem go nigdy więcej.

Nigdy, aż onegdaj w nocy, gdy nagle zjawił się znowu.

Stał przy belce, między kolanami starego Daniela; widziałem białą chusteczkę, którą ocierał białą twarz, słyszałem, jak płakał.

Oby nie przyszedł już nigdy więcej, — bo gdyby przyszedł, nie mógłbym zasnąć.

Spolszczyła Ida Wienierska

MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nleśwladomości)

12. NIECH ŚPI SPOKOJNIE OBU-
DZONA PRZEZ WOJNĘ SIO-
STRA MOJA, KTÓREJ GRÓB
NA KRESACH ROZWALIŁ PO-
CISK ZBŁĄKANY.

NIE WIEDZIAŁA, ŻE TO BÓJ
O JEJ I MOJĄ OJCZYZNĘ,
A WTÓREMU MĘCZEŃSTWU
PODDAŁA SIĘ DLA NIEJ.

Miłość zrozpaczonych rodziców nie wiedziała, czem uczcić miejsce jej wiecznego snu.

Trzysta fur ziemi wożono przez tydzień, aż urósł wedle dawnych wzorów kresowych olbrzymi kurhan, odporny na wszelkie kataklizmy, ciężki, samotny, na nowym i nie zamieszkanym jeszcze cmentarzu wiejskim.

Przed tą staniczną mogiłą, słał się stary cmentarz, pagórkowaty, toczący w dół kule grobów, nagrobków, krzyżów, Pan Jezusów, Matkożywych i aniołków.

Był cały jakby spynęła przezeń rzeka. Zlizany, szary, zamulony. Z płataniny haszczów, głogów, wiciokrzewów, strzelały ku niebu siwe, poturbowane fontanny dłoni kamiennych, i krzyżów żelaznych, koślawych i giezel piaskowcowych, wszystko spłoszone niewiadomo daczego i spieszące po zboczach, niewiadomo dokąd.

Nigdy nie było ciszy na tym cmentarzu.

Przeciwnie.

Był niepokój, był jakiś pośpiech niepotrzebny nikomu, jakiś przerażony zamęt, jakiś głupi, oślepiący pęd ku dolinie. Ludzie mawiali, że tam dużo samobójców leży i dlatego „porządne nieboszczyki“ nie mają spokoju.

Jedna mogiła mojej siostry była chmurnej, gorzkiej stateczności peł-

na. Zaryła się twardo, jak posepna, wspaniała kwadryga, z przed której rwie się opętany szal biegunów.

— Po co gonicie? Dokąd? U nas wszakże spokój, cisza, u nas nikt przed nikim nie ucieka, nam świat nie grozi, ani jego sprawy i borby, bośmy już nieszkodliwi i bezpotrzebni! Nas żadna klęska nie dotknie, żadne barbarzyństwo nie naruszy naszego snu i naszych domów. Strach nas strzeże.

Aż przyszedł dzień wojny. Dzień Sądu na Złotej Górze.

Cmentarz wciąż uciekał opodał po zboczach, w dół, ale teraz istotnie ludzkie sprzeczki i gniewy goniły za nim wściekłym huraganem.

Raz wraz wylatywała między Pan Jezusem bolejącym, a romantyczną kolumienką, stara grusza dzika w powietrze, korzeniami do góry, dookoła których uczone były, niby do wigilijnej choinki, ludzkie piszczele i kosteczki uwalane błotem.

Raz wraz waliła się z hukiem jakaś urna, w blaszane listeczki bluszczu spowita niewinnie — jakiś pocieszny i żalony zarazem aniołek zezowaty, niosący od stu lat tabliczkę z szerniałych niezabudek: „śpij dziecinol“ czyjemuś niemowlęciu.

Raz wraz ułamywały się z łoskotem jakieś poszczerbione, siwe, kamienne ramiona patetyczne — baniasta głowa jakiejś świętej leciała łukiem bezwładnym w nicość, a za nią, jak za kometą, długi ogon białawego tynku.

Grzmoty drelowały, wyluskiwały wnętrza grobów. Wokół zaś rozwalonych domów umarłych, płonęły domy żyjących na horyzoncie.

Cmentarz uciekał w dół, a za nim gnała jak sfora psów zawierucha wojny zajadła.

Mogiła mojej siostry była wciąż nietknięta, mimo że górowała na pustce bezdrzewnej, nieosłonięta. Ale właśnie wśród nagle spadłej ciszy (cisza trzeba wam wiedzieć, pada w bitwie głośniejsza, niżli huk armaty) palnął pojedynczy, samotny pocisk, akurat w trzy ćwierci kurhanu. Ziemia rozstała się błyskawicą, dwoma wachlarzami gliny, przetrzęta w pół niby bochen razowego chleba, aż do najgłębszej warstwy, aż do trumny srebrzystej aż do kruchych, cieniutkich nóg, dziewczęcych — Siostról! Siostróllg

Nie wiedziała, że to bój o jej i moją Ojczyznę, a wtóremu męczeństwu poddała się dla Niej.

13. NIECH ŚPIĄ SPOKOJNIE NIE-
SZCZĘSNE OFIARY BOLSZE-
WIZMU, KTÓRE GINĘŁY SA-
MOTNE, W MĘCE NIEWYPO-
WIEDZIANEJ, ABY POWSTAĆ
MOGŁA MOJA OJCZYZNA.

Pankratow był głównym katem czerezwyczałki moskiewskiej. Jako przyjaciel poprzedniego kata, Emaljanowa, odziedziczył po nim chlubne funkcje, oraz sześciopudową krasawicę, Eufrozinę Iwanównę.

Urodził się w Rizańskiej gubernji, w dostatniej, spokojnej, muzyckiej zagrodzie, u rodziców bogobojnych i dobroduszych.

Miał jasnocytrynowe włosy rzadkie, twarz z lekka sinawą, oczy błyszczące jak żuźle, szerokie bary, dwadzieścia siedem lat, wspaniałe mieszkanie na Strieteńce i, jak się wyżej rzekło, pierwszą w o-kła śną kochankę Eufrozinę Iwanównę.

Tej kochance znosił pierścienie, zegarki, kolczyki i herbowe papierośnice z tkliwym ferworem, otaczał ją też czułą opieką i pieśzcotami, ale niechnoby spróbowała spytać Eufrozyna Iwanówna o detale: naprzykład dokonanych przez miłego egzekucyj!!! Wtedy skądinąd subtelny Pankratow wpadał w ślepy szal i, milcząc, pięściami okładał tłustą twarz kochanki, aż do zupełnej jej nieprzytomności.

Ha! trudno!

Eufrozyna Iwanówna kładła na zajutrz kompresy na zniekształconą do czerwonej poduszki podobną fizjognomję, z żalnością konstatając, że najszlachetniejszy nawet mężczyzna ma swoje słabostki.

Drugą miał jeszcze słabostkę Pankratow.

Mianowicie pasjonował się do złotych plomb w zębach. Ot kolekcjonerstwo, jak każde inne

Zaledwie padł skazaniec po jego strzale, względnie po wyrznięciu kolbą w kark, rzucał się Pankratow ku niemu, obracał twarz martwą do światła i z wprawą zdumiewającą wyłuskiwał złote zęby ze stygnących, okrwawionych szczęk.

Dziwna rzecz! — zostawiał nieraz nowiuteńkie buty, brylantowe pierścienie, zegarki, swoim pomocnikom, ale zęba plombowanego nie darował nigdy.

Drżały mu ręce na widok ust otwartych, w których lyskał dyskretnie złoty opisek, biegały niecierpliwie oczy, spazm chwycił za gardło.

— Bezumieć... dziwiły się czasem żołdacy, ale ostatecznie woleli przecie, aby brał zęby, a im zostawiał zegarki i pierścienie, niż żeby miało być naodwrot.

Pewnego dnia przyprawiono mu uroczą kontrrewolucjonistkę, z rozkazem „pod ścianę“.

Zachowywała się jak wszvstkie mniej więcej, to jest dość głupio, błagając jego, Pankratowa o łaskę, klękając przed nim, czółgając się, jęcząc i targając cudowne, popielate włosy.

Oczywiście nic sobie z tego nie robił. Były to akcesorje do jego funkcji. Te krzyki, te lamenty, te gesty, dodatki prawie nieodzowne, które już dawno przestały go wzruszać i zajmować. Straciły dla niego smak bo był czas, kiedy smak miały, ostrzający, piekący, jakby paprykę gryzł madziarską i zaciągał się najlepszym tytoniem.

Niech pokrzyczą, niech pojęczą, ich rzecz! Swoją drogą czasem, gdy za długo te komedje trwały, walił „w mordę“ milcząc, jak Eufrozynę Iwanówną, raz za razem, z tępą, wzmagającą się wściekłością, ale to się rzadko zdarzało. Cza-

sami przeciwnie: właśnie kiedy ktoś zanadto wyniośle, zanadto wzgardliwie szedł w jego ręce, walił „w mordę“. To również rzadko się zdarzało.

Teraz obojętnie związał młodą kontrrewolucjonistkę, broniącą się jak kurczę. słabiotko i śmiesznie — obrócił twarzą do muru, jak lalkę, ręce jej uczepiwszy do żelaznych kótek w ścianie i cofnął się do strzału o kilka kroków. Zaledwie to uczynił, wszedł nagle żołnierz z kartką, z krótkim rozkazem: puścić kontrrewolucjonistkę!

Oto mała, zwyczajna pomyłka — pomieniano nazwiska, czy wzięto za kogoś innego — czy potrzebna jeszcze była do konfrontacji) —

Pankratow sklął żołdaca i zaczął rozwiązywać rzemienie, ale kiedy dziewczyna w ogłupieniu, w obłędzie, roześmiała się spazmatycznie, przyczem ukazała dwa zęby złote w różowej palisadce dziąseł — drgnął Pankratow.

— Nu... puścić to puścić, ale zęby jej Bohu mojej!

Struchlałą dziewczynę, do pół jeszcze skrępowaną, położył sobie na kolanach i szamoczącej się ostatkiem sił, wyrwał sprawnie dwa zębki upatrzone, potem skropił ją wodą i czekał aż wróci do przytomności.

Z malutkich ust pokaleczonych i rozdartych ciekł wolno sznurek krwi, żołdat obojętnie patrzył na scenę, o bagnet oparty.

— Sygrajcie czto nibut... rzekł niespodzianie Pankratow. Żołdat uśmiechnął się przyjaźnie, odrzucił karabin, oparł się o skrzwioną, obryzganą mózgiem, upiorną ścianę, wyciągnął harmonijkę i zadrumał:

— ...poczemu ja bezumno lublju...

To była trzecia słabostka Pankratowa.

Lubił harmonijkę ponad wszystko i nieraz, kiedy za dużo miał roboty, kiedy czeluście Butyrek, Łubianek i Weczek zbyt liczne przesyłały mu transporty na rozstrzał i poprostu ręce mdlały jemu od strzelania, od bicia, od razów pięścią, któremi uśmierzać musiał czasami głupców, nazbyt do życia przywiązanych — kazał żołdatom grać.

Trzy, cztery harmonijki grały — krasive romanse — sarafana, albo kamarińskiego — cieniutko, żwawo do wtóru salwom, krzykom przekiętym, jękom, czkawkom i stentorowym obliczeniom dzielących się garderobą:

— ...piat rubach... siem worotnikow... bielij żiljet... pantalony...

Pankratow pogardzał garderobą zabijanych.

Po operacji wrywania zębów, wracała domniemana kontrrewolucjonistka do swojej celi, oszałała ze szczęścia, z ceglastermi wypiekami na twarzy, z pokaleczonemi ustami. Wracała jak z tamtego świata. Witały ją oczy ucieszone, lub pełne tajnej zazdrości — słuchano ze zgrozą jej szeptanej opowieści.

Każdy z nich ofiarowałby dzieśię tysięcy zębów własnych, gdyby je miał i gdyby mógł, byle żyć — byle żyć!

Straszliwą cenę miało życie dla nich!!!

Im dłużej siedzieli w udreće czekania, tem kruchsze stawały się podwaliny ich dumy, ich obojętności, ich godności.

Wszystkie typy, wszystkie lata, wszystkie rodzaje, mieściły się w tej okrutnej, ciasnej przestrzeni więziennej.

Były nawet dzieci.

Piotruś Ossipowicz Pokolniss nie miał ponad lat osiem, a czekał śmierci jako ważny „spion“. Przyłapano go, gdy kradł ziemniaki na polu, a nieszczęście chciało, że pole to akurat leżało o parę kroków od linii bojowej. Sprali go batami, choć się tłumaczył, że to ojciec kazał kraść i zamknęli w Butyrkach.

Kiedy przyszła nareszcie godzina jego, ta ostatnia, i otworzyły się drzwi celi:

— Piotr Ossipowicz Pokolniss! z rzecząmi huknął znany głos komisarza śmierci, Sajenkowa.

Wiedzieli wszyscy co znaczą złowrogie słowa „z rzeczami“ wiedział mały Piotruś, ale niebardzo sobie zdawał sprawę ze śmierci, więc szedł dość rażnie ku drzwiom, z tobołkiem, rażniej niżli to czynili w takim wypadku starsi. Raptem z poza pleców Sajenkowa, wysunął się morus w skórzanym, bolszewickim mundurze, nie o wiele od Piotrusia większy, ni starzy.

— Tatkul — wrzasnął namiętnie — obiecywałeś mi dać rozstrzelać kiedyś jednego z nich... tego mi dasz! Spodobał mi się! Mój tatkul daj mi tego rozstrzelać, mnie samemu*...)

— Kak chcesz, Griszeńka — uśmiechnął się pobłaźliwie Sajenkow i wtedy — dziwna rzecz! — ten sam mały Piotruś Ossipowicz, który szedł rażno w ręce dorosłego oprawcy, stanął jak wryty. Dwoje dzieci patrzyło sobie teraz w oczy i coś straszego musiały powiedzieć oczy Griszeńki, bo Piotruś rzucił się całym ciałem na ziemię

*) Autentyczne.

i zaczął krzyczeć wysokim, przeraźliwym, zwierzęcym wprost rykiem: —...ja ne chaczull!

Cela i na to patrzyła w milczącym odrętwieniu, tylko niektórzy zasłonili sobie zbielejące twarze, drudzy zatkali uszy palcami. Jeden jedyny Karoli, głupkawy jeńiec niemiecki, wybuchnął śmiechem.

Właśnie w owych dniach, kiedy imiennik jego, graf Karoly, organizował triumfalne na Węgrzech sowiety, on, człek pospolity, żaden graf, tapicer natomiast, czy piekarz, z zapadłego niemieckiego miasteczka, posądzony o pokrewieństwo z „arystokratami, z grafami Karoly,“ gnił w sowieckim więzieniu.

Tak się dziwnie mścił duch rodu Karolych...

Pełna była po brzegi cela.

Czekał na śmierć nieuniknioną, nieludzką dawny carski minister spraw wewnętrznych, Makarow, dumny pan, zacięty, wyniosły, z jakąś martwą pogardą traktujący opawców, czekał Tatyszczew, dawny dowódca korpusu żandarmskiego, czekał pyszny książę Dołgoruki, adjutant i osobisty przyjaciel Mikołaja II, czekał Dżunkowski gubernator Moskwy i Kniazew, generał gubernator Irkucka, czekał generał Skrydłow, brat admirała, z żoną i synem, czekała dziesiątka biskupów prawosławnych i prokurator Synodu...

Wiedzieli, że nic ich nie uratuje.

Odchodzili powoli, jeden po drugim, aby już nigdy nie wrócić — pisali listy pożegnalne, które nigdy nie dochodziły — palili nerwowo „fajkę pokoju“ z socjal-rewolucjonistami (na pożegnanie, bracie, ja, monarchista, zapalę z tobą fajkę pokoju, na progu wieczności, bracie...), płakali, lub zacinali się w niesamowitem milczeniu, jak Makarow, jak Dołgoruki — lub wychodzili z celi w śnie prawie że somnambulicznym, uśmiechnięci, jak na przykład baronowa Majdel, siostra rodzona Borysa Sawinkowa, późniejszego zdrajcy, lub czolgali się u nóg zbirów w obłąkaniu, w szale rozpaczy, niemającej nazwy. Niektórzy zaś poprostu wieszali się na własnych szelkach, czy pociętych koszulach i rozrywali sobie żyły kawałkiem drutu. Ta „kontr-

rewolucyjna“ operacja udawała się czasem, a czasem docucano ich i dzieła dokonywał Pankarow — tym razem nieomylnie.

Lub dokonywał... tyfus.

Ginęli na tyfus plamisty jak muchy. Szpitale były przepełnione, walono pokotem konających na podłogi nigdy niemyte, rojące się od pluskiew, karakunów i wszy — na żelazne prycze, w chlubiącą od wilgoci słomę, po pięciu, po sześciu. Szpitale były gorszym piekłem niżli więzienna cela, zaczęli więc ludzie umierający w czterdziesto stopniowej gorączce udawać zdrowych, aby ich nie zabierano z cel do szpitala, choć nikt nie miał nic przeciw spokojnej, własnej śmierci.

Jeżeli kto miał chorego przyjaciela lub kolegę, to, znając godzinę wizyt quasi lekarskich, kładł mu zimne kompresy, aby ochłodzić jego czoło i ręce i oszukać lekarza, wmawiając, że ten nie jest chory ani trochę, tylko śpi. Chory zaś nie spał, tylko mrzył nieprzytomny w piek elnej gorączce i tak przechodził niejeden w zaświaty, cicho i łagodnie, pod czułą opieką przyjaciela.

Dzienniki urzędowe zapowiedziały, że „14 stycznia“ zniesiona zostanie kara śmierci w Moskwie. Więc — rzecz prosta — 13-go zaczęto od świtu rozstrzeliwać więźniów. Masami wyprowadzano ich z cel — strzały huczały we wszystkich piwnicach, kurtyarzach, w parku Piotra Wielkiego, pojedynczo i salwami. Krzyki rozdzierały powietrze nieznośnie, a wśród tego urywanym słacratem, burczały odjeżdżające w dal samochody.

Rano wprowadzono małego człowieczka do butyrskiego więzienia. Mał przestraszona czaszkę i przestraszony również język. Mówić nie mógł, lecz wszystkimi możliwymi znakami dawał do zrozumienia towarzyszom, że skazany na śmierć i prowadzony na egzekucję ocalał dzięki temu, że żołdacy zgórowały. Będzie żyć!

Szalał, wiercił się, śmiał się jak dziecko do łez, choć paliły go ra-

**) Wszystkie szczegóły autentyczne. Patrz wspomnienia Nadeżdina, Czernowa, Czumakowa, Situzonki, B-kreniewa, w zbiorowym wydaniu p. t. — TCHE KA, traduit du russe par E. Pierremont.

ny, a opuchły język wypełniał całą jamę ustną, dusząc go i dławiąc. Nie mógł się życiem dość nacieszyć. Wciąż przed tym i owym stawał skrwawiony, siny, radosny i opowiadał palcami, rękami, oczami jak długo już siedział w „okręcie śmierci“, jakie przeszedł tortury, jak mdał wleczony na egzekucję i jaki jest teraz szczęśliwy, jak niewymownie szczęśliwy... Jutro kończy się kara śmierci w Moskwie, więc nic mu już nie grozi, nic zrobić nie mogą — będzie żył!

Nie skończył opowiadać po raz setny swoich dziejów i swojej radości, kiedy zgrzytnęły drzwi wchodowe i rubaszny głos Pankratowa zapytał, od progu, gdzie jest ranny. Dojrzał go zresztą sam:

— Chodź, a prędko!

Przekrwione gałki oczne stanęły najpierw w słup, a potem zaczęły z pod powiek wyłazić, wyłazić, coraz bardziej, na wierzch, jakby na kołki nadziane. Ręce dotykały w pomieszeniu głowy i ust: przekonać się, chciały, że przecież niczego nie kłamał, że nic z tego nie jest snem, że był raniony przy egzekucji, ulaskawiony, że go już zabić nie mogą — nie mogą — absolutnie nie mogą — prawda?

Nikt nie odpowiadał na te wątpliwości, na te sprawy.

Pankratow zniecierpliwiony czekaniem podszedł.

— Nu, idiosz? a kiedy ranny wciąż stał zdrętwiały, zarzucił mu pachtę na przerażoną twarz i wypchał za drzwi, choć się ten miękko czepiał odrzwi i stołków, gdaaniem jakimś i piskliwym falsetem dając znać o swoim straszliwym niepokoju.

Znowu te akcesorja, tak dobrze znane Pankratowill!

Po długiej, długiej chwili, runął głuchy strzał, nawet gdzieś blisko, w jakimś sklepionym dziedzińcu, bo echo załopotowało kilkakrotnie i nastąpiła cisza, aż ją znowu rozdarł inny głos.

Turkotał tym razem niecierpliwym motorem samochodu. **)

Śpij człowieku, nieznany nikomu, z najwyższego djapazonu radości wyrwany brutalnie i ciśnięty w nieustępliwe objęcia śmierci. Śpijcie wszyscy męczennicy obcej sprawy, która się stała nadopodziwianiem sprawą mojej Ojczyzny. (c d n.)

